

IF. 585.253

Szeptycki Andrej

K S. A N D R Z E J S Z E P T Y C K I
ARCYBISKUP METROPOLITA LWOWSKI OBRZ. GRECKO - KATOL.

ZE WSPOMNIEŃ O BRACIE ALBERCIE



KRAKÓW 1934
WYDAWNICTWO KSIĘŻY JEZUITÓW

ZE WSPOMNIENÍ
O BRACIE ALBERCIE

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

K S. A N D R Z E J S Z E P T Y C K I
ARCYBISKUP METROPOLITA LWOWSKI OBRZ. GRECKO - KATOL.

ZE WSPOMNIEŃ O BRACIE ALBERCIE



KRAKÓW 1934
WYDAWNICTWO KSIĘŻY JEZUITÓW



ODBITKA Z „PRZEGLĄDU Powszechnego”

II. 585.253

DRUKARNIA „PRZEGLĄDU Powszechnego”

Braciom Albertynom.

Dzieląc całym sercem cześć, jaką otaczacie pamięć założyciela Waszej Kongregacji, Brata Alberta, bardzo chętnie spełniam Wasze pragnienie. Prosiłście mnie, bym spisał wszystko, co tylko o nim pamiętam, „wszystko do najdrobniejszych szczegółów“ powtarzaliście. Wszystko, co pamiętam napiszę. Choć i ja i Wy pragnęlibyśmy jeszcze więcej szczegółów o życiu Tego, któregośmy wszyscy tak bardzo kochali i tak bardzo czcimy.

Brata Alberta poznałem w 1887 roku. Już wtedy nosił, dopiero od kilku tygodni, szary habit Tercjarzy franciszkańskich; jeszcze nie taki gruby i prosty, jak w późniejszych latach — z delikatniejszego szarego sukna, dosyć elegancko skrojony na wzór kapłańskiej sutanny z białym sznurem zamiast pasa. Już ten habit wszystkim powiadał, że Pan Adam Chmielowski stanowczo chce porzucić świat i poświęcić się na wyłączną służbę Bogu. W świecie jednak bywał i gorąco uczestniczył w dyskusjach artystycznych. Pamiętam na wieczorach u Pana Konstantego Przeździeckiego, którego gościnnie i zawsze otwarty dom na ul. Wolskiej zbierał artystów, literatów, krytyków Krakowa, Brat Albert dysputował o zasadach malarstwa. Krytykował bez miłosierdzia starą malarzką szkołę, wykazując nielogiczność malowania np. rycerzy na polu bitwy w oświetleniu malarskiej pracowni. Jakżeż na szyszaku czy zbroi może odbijać się cień krat w oknach pracowni. Pojęcia to były dla starego Krakowa nowe; stawały się przedmiotem gorących bardzo dyskusyj;

jedni uważali taką krytykę za straszne zuchwalstwo, a inni przekonani, stawali po stronie Chmielowskiego.

Ale nie tylko o malarstwie dysputował Brat Albert. Zaczynał i religijne dyskusje. W tym świecie malarzy i literatów, którzy go wszyscy bardzo kochali, śmiało poruszał żywotne pytania religii.

„Wy wszyscy — mówił np. — nie macie pojęcia o katechizmie; nie wiecie tego, co powinno wiedzieć każde dziecko w 10 roku życia“.

„No, no, może tak źle nie jest“.

„Zadam wam pytanie — jak jeden z was dobrze odpowie, to ja przegrałem“.

„Pytaj“.

„Powiedzcie mi, co to jest Kościół“?

„Nie kpij z nas — ja bym nie wiedział co to jest kościół? Kościół Panny Marji, św. Krzyża, św. Anny, św. Florjana...“

„Ależ nie o takie kościoły pytam — pytam o Kościół, co go Chrystus Pan zbudował“.

„Co do mnie to muszę przyznać, nie wiedziałem, że Chrystus budował kościoły“.

„Ależ nie kościół z kamienia czy z cegły — duchowy Kościół“.

„Ja powiem — Kościół to Ojciec święty i kardynałowie“.

„Nie dobra odpowiedź“.

„Ja dodam jeszcze — biskupów“.

„Nie dobra odpowiedź“.

„Ja dodam jeszcze księży“.

„Nie dobra odpowiedź“.

„No, to chyba dodać jeszcze tercjarzy“?

„Otóż widzicie — żaden z was nie umie katechizmu. Kościół — to zebranie wiernych pod widomą głową Papieżem rzymskim...“

Brat Albert mieszkał wtedy na ulicy Basztowej w małym kawalerskim mieszkaniu na II piętrze. Tam odwiedzał go mój brat Kazimierz, w zakonie Ojciec Klemens, dziś przełożony Klasztoru Studytów w Uniowie. Brat Albert prosił go o wprowadzenie go do Towarzystwa św. Wincentego

à Paulo, względnie do Akademickiej Konferencji św. Jana, która co tydzień zbierała się pod przewodnictwem p. Ludwika Dębickiego w pałacu biskupim na parterze. Członkowie konferencji odwiedzali wtedy, jak zawsze, ubogich w mieście; a na zebraniach swoich omawiali ich potrzeby. Tu powstała myśl schroniska dla ubogich, którą Brat Albert w życie wprowadził. Widywałem Brata Alberta na zebraniach konferencji.

Około 3 lat później spotkałem go znowu w Krakowie w domu OO. Jezuitów na Wesołej; gromadzili się już około niego Bracia Tercjarze, którzy razem z Nim prowadzili pierwsze schronisko Braci w Krakowie na Kazimierzu; kierownikiem duchownym tego zgromadzenia był wtenczas ks. Henryk Pydykowski S. J., człowiek bardzo szerokiego serca. Obaj unosili się nad dziełami św. Jana od Krzyża. Entuzjazm Brata Alberta dla tego przewodnika w mistycznym życiu był bardzo wielki. Dziwny ten św. Jan. O rzeczach wychodzących daleko poza granice ludzkiej natury i ludzkiej wiedzy pisze tak, jakby żył nie na ziemi, a gdzieś w niebie. W latach 1890 i 1891 często widywałem Brata Alberta i bardzo się do Niego zbliżyłem. Uderzał mnie w jego postaci charakter artysty — jaki mimowoli i wiedzy zachowywał pod grubem już, szarem suknem tercjarskiego habitu. Był zawsze artystą i miał ten rzadki u artystów nawet przymiot; miał bardzo wybitny i bardzo charakterystyczny swój styl. Styl w mówieniu, w przedstawianiu rzeczy, w krytykowaniu tego co mu się nie podobało, w chwaleniu tego, co lubił. Jego każdy ruch, jego śmiech miały zawsze tyle charakteru, były zawsze czemś tak odrębnem, niezwykłym, że wprost uderzały. Nic nie było w Nim tego, co nazywają oryginalnością: nigdy nie był oryginałem; ale tak był zawsze Sobą. Wszystkiemu, czego się tylko dotykał, nadawał Swój charakter, był taką niepospolitą, tak niezwykłą, tak wyjątkową indywidualnością, że nie mógł nie zwracać na Siebie uwagi, każdego człowieka myślącego i interesującego się tem, co ludzkie. Nie uderzał świętością — a jednak wszyscy ci, którzy się do niego zbliżali odczuwali to, co tak doskonale określił, taki niepospolity człowiek — jakim był ks. Henryk Jackowski S. J. Mawiał o Bracie Albercie: „Nie lubię ludzi za życia kanonizować,

ale to pewne, że Brat Albert robi takie dzieła jakie tylko święci umieją robić”.

Brat Albert szedł drogami tak niezwykłymi, że każdy musiał powiedzieć sobie — patrząc na Jego robotę: temi drogami tylko Duch Boży może człowieka prowadzić.

Brat Albert zaprosił mnie na rekolekcje w schronisku Braci na Kazimierzu. Był z rekolekcji moich zadowolony, co mnie oczywiście bardzo ucieszyło i jeszcze bardziej do kochanego Brata Alberta zbliżyło. Opowiadał mi o szczegółach Swojej młodości; jak Go rodzice 14 czy 15-letniego chłopca, oddali do korpusu kadetów w Petersburgu; młody chłopiec tak przejął się atmosferą, w którą wpadł, że wróciwszy do domu na święta, czy wakacje, ojca i matkę nazywał z rosyjska „papasza i mamasza” i biednych rodziców tak tem przestraszył, że już go zpowrotem nie puścili do Petersburga. W otoczeniu, w którym wzrastał uchodziło wszystko co ukraińskie, ruskie za coś idealnego, ciekawego, pięknego i chwalebego; stąd może zachował Brat Albert bardzo szczerą życzliwość dla bratniego ukraińskiego narodu, choć nigdy nie interesowały Go żadne sprawy polityczne i nawet zdaje się najmniejszego zmysłu do polityki nie miał.

W następnym roku w zimie z 1891 na 1892 przeżyłem z Bratem Albertem znowu kilka ale bardzo serdecznych chwil, które nas znowu bardzo zbliżyły, w Zakopanem. Odwiedzał On wtedy kilku chorych na piersi Braci, którzy w Zakopanem przebywali zimą — między innymi młody Brat Witalis. Żył wtedy w Zakopanem bardzo serdeczny przyjaciel Brata Alberta, malarz Stanisław Witkiewicz, który i mnie zaszczycał swoją przyjaźnią. Obaj przypominali sobie czasy razem przeżyte w akademji monachijskiej; Witkiewicz, człowiek rzadkiego serca i rzadkiego umysłu kochał serdecznie Brata Alberta. Widzę go jeszcze, jak ręcznikiem ociera ze śniegu twarz, głowę i płaszcz Brata Alberta, który ze mną ze spaceru wstąpił do Państwa Witkiewiczów; ze śmiechem zwraca się do mnie: „On tak o siebie nic nie dba, że tego śniegu nawet ze siebie nie strzepałby, — ot tak, i szcztoką jeszcze trzeba ten płaszcz wyczyścić”. A Brat Albert spokojnie te usługi przyjmuje, rad z tego, że dawna artystyczna atmosfera znowu Go otacza. „Za dawnych czasów mona-

chijskich, opowiadał mi Witkiewicz, Chmielowski u wszystkich miał reputację znakomitego krytyka tak, że nieraz koledzy przynosili mu czy szkice czy obrazy, a On robił im swoje uwagi; na te uwagi byli tak wrażliwi, że wystarczyło, by się Chmielowski skrzywił, a obraz był czy przemalowany czy w ogień rzucony. Teraz, to On i swobodny i wesoły tak jak za dawnych czasów, ale kiedy od Jezuitów wystąpił — to cztery miesiące słowa do nikogo nie powiedział — a tak jadał jakby przez lata nie miał nic w ustach“.

Drugi raz w Zakopanem spotkaliśmy się kilka lat później; wtedy zawiózł mnie Brat Albert do tej pustelni, zbudowanej daleko w lasach nad Kuźnicami. Istna pustelnia. Na saneczkach o jednym koniu, tak niskich, że ręką można było każdej chwili dotknąć ziemi, drogą czy prędzej ścieżką wśród wysokiego lasu, spinającą się bardzo stromo w górę, jedzie się w tę krainę, której zdaje się noga ludzka może jeszcze nie deptała. Zanim się dostaniemy do właściwego eremu, podobnego do tych franciszkańskich eremów włoskich, tak poetycznie opisanych przez Joergensena — trzeba przejechać około tego klasztoru, który dla zwykłych śmiertelników byłby czemś więcej jak pustelnią, a który dla właściwego eremu albertyńskiego, jest jakby bramą — czy przednią strażnicą.

Brat Albert miał takie o życiu zakonnem pojęcie, że gdyby nie wstrzymywała Go służba miłości bliźniego, służba ubogich — którą Opatrzność Boska postawiła na Jego drodze — On, zdaje się, ani dnia nie zostałby na świecie między ludźmi — a skryłby się gdzieś na pustyni wśród dzikich, nieprzystępnych lasów, żeby tam oddać się modlitwie i wpatrywać się w Boże piękno, prawd Bożego Objawienia, i w oblicze Pańskie w miłosierdziu, zwrócone do nędznego ludzkiego rodzaju. Gdyby był poszedł za swoim upodobaniem, byłby budował samotne Alwernje i braci swoich byłby wiodł drogami mistycznych kontemplacyj. Ale któż zajmie się tymi opuszczonymi od wszystkich? Któż pobuduje domy, któreby na nocleg przyjmowały bez wyjątku wszystkich, którzy się tylko zgłoszą — bez żadnego względu — na ich ilość, na ich ubranie, albo brak tegoż ubrania, na nędzę, na brud, na wszy? Któż obejmie uściskiem miłości

tych najbiedniejszych i najwstrętniejszych? Któż to zrobi, jak nie ten, kto z miłości do Pana Boga opuścił świat dla pustyni, a rozkosze pustyni dla ciężkiej służby ubogich? Gdy znajdzie się taki człowiek, to nawet wtedy, kiedy będzie najniezdolniejszy do technicznej strony organizacji, Bóg przez niego zorganizuje i zbuduje dzieło, którego by ręka ludzka nie zbudowała.

Brat Albert nie jest organizatorem; mimo wszystko jest On jeszcze zawsze artystą. Kiedy rozgada się o artyzmie, o malarstwie, o obrazach, o szkołach, o „*plain — aire'ach*”, to zapomni się, że biedny brat Witalis będzie musiał dzień się razy przypominać: „proszę Brata, już 6-ta godzina” — Brat Albert nie słyszy i dalej rozmawia — i znowu półgłosem „proszę Brata” i już dyskretnie za rękaw ciągnie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ale Brat Albert, bardzo daleki myślą, kąpie się w przestworzach niebieskich na skrzydłach twórczej fantazji, wznosi się ponad poziomy ludzkiego życia, dziwi się tworam nowożytnej szkoły, „stylowi parkanowemu”. Początkującemu artyście, przedstawiającemu swoje arcydzieło, oznacza je jednym słowem: „bohomasz”, i dalej zatapia się w rozmowie i na brata Witalisa zupełnie nie uważa. „Proszę Brata, na noc do domu nie wrócimy” — gdzieś tam, ani słyszy, dalej rozprawia.

Może być, że ciężko Mu z tą niedobrze dopasowaną i od lat nie naprawianą protezą — zamiast nogi — za wielkim trudem dla Niego wracać do domu, do schroniska ubogich, żeby tam na twardej pryczy przebywać ciężką noc.

Nieraz nocowałem w schronisku z Bratem Albertem w jednym pokoju i byłem świadkiem, jak ciężki był Jego odpoczynek; godzinami całymi nie sypiał; czy ból nogi, czy twarda deska — dosyć, że o jakiegokolwiek godzinie w nocy budziłem się — prawie zawsze spostrzegałem, że Brat Albert nie śpi.

Jednym z problemów — jaki Go najwięcej męczył, było: jak urządzić życie zakonników, żeby mogli do słowa spełniać przepis pierwszej reguły św. Franciszka, żeby nigdy pieniędzy żaden brat nie dotknął. Bądź, co bądź, franciszkański ideał ubóstwa, był w życiu Brata Alberta i braci tak urzeczywistniony, że nie wiem, czy w kilku ostatnich wie-

kach można stwierdzić równie szczerze i usilne starania do wprowadzenia w życie św. Ewangelji. Brat Albert, rzeczywiście nic nie posiadał. Ta gruba niebieska chustka, którą wyciągał z rękawa, była tak oczywiście wspólną dla całego domu, że sama sobą świadczyła o wykluczeniu wszelkiego przywileju dla przełożonego. A kto bywał w pokoju gdzie Brat Starszy sypiał, ten wie, że tam nie było nawet żadnej szuflady, zastrzeżonej dla Niego. Gdzież książka duchowna — którą czyta? — oczywiście teraz w ręku drugiego, czy trzeciego brata, oprawiona w proste żaglowe, ścierkowe, czy workowe płótno — to samo stwierdza, że jest wspólną własnością całego domu. A ta książka znowu, choć tylko Bratu Albertowi służy — bo to francuskie wydanie św. Jana od Krzyża — jakim jest rozczulającym świadectwem Jego ubóstwa. Popatrzcie na oprawę — nawet na kartki — jak polepione, a spostrzeżecie, że ta książka po kilkunastu latach będzie zachowana, jako bardzo cenna relikwja. Chrystusowy świadek — ubóstwem całego życia — dał Chrystusowi świadectwo, używał tej książki, nie posiadając jej i nie uważając jej za swoją i dlatego królowie przyszłych pokoleń będą ją ze strachem i drżeniem uszanowania całować.

W rok, czy dwa lata potem miałem szczęście znowu przeżyć tydzień z Bratem Albertem w Werhracie. Po misji danej w miejscowej parafji zamieszkałem w Klasztoru Braci. Ubrać się w ich habit, ściągnąć biodra paskiem św. Franciszka, przysłuchiwać się rozmowie Braci — i z Bratem Albertem godzinami rozmawiać — to rekolekcje lepsze może od jakichkolwiek innych. Bo o cóż idzie w rekolekcjach — jak nie o to, ażeby sobie przypomnieć, jak marne są wszystkie dobra świata, jak krótkie życie, jak trzeba się spieszyć, by zbierać nagrodę na wieczne życie — jak Pan Bóg tajemnicę Swojej mądrości zakrył przed mędracami, a objawił je maluczkiemu.

Zanadto mi drogą, chociażby najmniejsza pamiątka po Bracie Albercie, żeby tu nie wspomnieć i o tem zdarzeniu: Kiedyś — zdaje mi się, że to było około 1901 roku — Brat Albert przychodzi do mnie i opowiada mi swój kłopot, że w budżet krajowy, jaki ma być uchwalony w sejmie, włożono tylko nieznaczną sumę i że dla schronisk swoich musi

koniecznie dostać znacznie większą subwencję; w komisji budżetowej pozycje już wszystkie uchwalone — jedyny ratunek, żeby w sejmie *in pleno* ktoś postawił poprawkę i zażądał zmiany tej pozycji. To była okazja mego przemówienia w sejmie — uwieńczonego skutkiem, już niebardzo pamiętam, jak wielkim, osiągniętym przez życzliwość, którą miał dla dzieła Brata Alberta, przewodniczący budżetowej komisji sejmowej Kazimierz Badeni.

Więcej szczegółów, zdaje się nie pamiętam. W ostatnich latach przed wojną nie wiem, czy Brata Alberta widziałem. Szczegóły wypadły z pamięci. Tem jaśniejszą i promienniejszą w moich oczach postać Tego wielkiego sługi Chrystusowego, który tak ukochał ubogich, że sam dla nich stał się ubogim. Służba ubogich była dla Niego szkołą ewangelicznego ubóstwa; w tę cnotę wciągała Go — że tak powiem — służba ubogich, której się całym sercem oddał. Dlatego też zakonne ubóstwo było u Niego tak prostym wpływem Jego życia i Jego duszy, że było w Nim zupełnie naturalne; nikt się nie dziwił Jego ubóstwu, choć nikt z ludzi, co go spotkał, nigdzie napewno nie spotkał nikogo, któryby w równym stopniu praktykował tę cnotę ewangeliczną.

Å ubóstwo Jego nie było tylko zewnętrzną formą, ubogim sposobem życia, ono było w Jego duszy, rzeczywistym oderwaniem się od wszystkiego, co tylko jest na świecie; poza służbą swoich ubogich nie miał nic na świecie i miało się wrażenie, że gdyby te węzły służby ubogich były naraz odpadły, byłby wzleciał w niebo, albo ukrył się na pustyni.

Jego ubóstwo było czemś tak fenomenalnym, że nie sędzę, iżby można wynaleźć równy przykład; a prztem było tak proste i naturalne, że np. nikt się temu nie dziwił, że Brat Albert nie miał swego pokoju, swego kącika i nigdzie i nigdy nie mógł się nawet na chwilę usunąć od towarzystwa ubogich i Braci. Z tem ewangelicznym ubóstwem łączyły się wszystkie cnoty, które zwykle ewangelicznymi nazywa się — przedewszystkiem ewangeliczna prostota. Zdaje się, że zawsze i z natury lubiał to, co jasne, proste i szczere. Takie też i pojęcie o doktrynie św. Ewangelji wy-

robił sobie pracą całego życia. Jego ascetyczne czy raczej mistyczne pojęcie Ewangelji było o całe niebo wyższe od tej samej koncepcji w przeciętnych naszych umysłach — dlatego też i Brat Albert był takim olbrzymem w porównaniu z nami. Tak jak Jego mowa, tak i Jego nauka duchowna była wedle tak charakterystycznego wyrazu Pisma św. „tak-tak, nie-nie“. Naukę Ewangelji św. przyjmował tak, jak ona jest, z tą — możnaby powiedzieć — bezwzględnością, z jaką by dzieci ją przyjmowały. Żadnych uprzedzeń, żadnej dwumyślności, żadnej teorii odmiennej od praktyki i żadnej praktyki nie odpowiadającej teorii. Musiało Jego życie być bardzo czystem, kiedy Jego dusza, Jego umysł mógł być tak wiernem odbiciem Chrystusowej nauki. Jak w dobrem zwierciadle odbijała się w Jego duszy każda nauka Chrystusa, a Jego cieszyło skonstatowanie, że tak jest, a nie inaczej. Ta dusza dziwnie była daleką od wszystkiego tego, co można nazwać wykrętem, udawaniem, hipokryzją, fałszem czy nieprawdą, była dziwnie szczerą — jak szczerę złoto. Prawie bym powiedział przeźroczystą. Można było w Nim wszystko zobaczyć. On nic nie krył, nic nie zasłaniał chyba cnoty swoje.

Był takim artystą w Swych pojęciach, że był i wielkim artystą w Swem życiu. Jego cnota tak stała się Jego naturą, że w niej nie spostrzeżano się długoletniej pracy — tak jak w bardzo wielkich arcydziełach sztuki artysta ukryty pod prostotą i naturalnością, w której nikt nie domyśla się olbrzymiej pracy i olbrzymiego talentu. Takim samem dziełem artystycznym jest Jego Kongregacja. Wyżej powiedziałem, że nie był organizatorem w znaczeniu stanowczej, przedkierowanej, natychmiastowej decyzji, nie był nim, ale w znaczeniu oddzielenia tego, co mało znaczącym szczegółem a co zasadniczym i ważnym; ale był więcej jak organizatorem, bo był twórcą. Nad ważnemi zasadnicznemi linjami budowy zastanawiał się długo wśród rozmyślań, modlitwy, nie zaniedbując zasięgać choćby u wszystkich porady.

Niesłuchanie ważnem było w Jego oczach pytanie każde, które miało znaczenie dla rozwoju duchownego Kongregacji i dusz jej powierzonych.

Jeżeli Bracia Albertyni będą wierni duchowi Brata Alberta — Kongregacja zrodzona ofiarą Jego życia przetrwa wszystkie burze wśród których zapadną się inne, będzie rość i rozwijać się, bo będzie miała zawsze Jego błogosławieństwo i przez Niego będzie nierozzerwalnemi węzłami złączona ze św. Franciszkiem.



